

65



Naprawdę, jacy byliśmy...

Kryśka, Basia, Margola, Irka, Zosia. Było nas pięć. Antek, Marek, Ryśiek, Romek, Janusz, Andrzej, Boguś. Ich siedmiu.

Tworzyliśmy klan. Bandę. Elitę II „B”. Maturę zdaliśmy w maju 1951 roku. We wrześniu 1996 spotkaliśmy się podczas Jubileuszu 50-lecia naszej szkoły, Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie. Nie wszyscy. Zabrakło Kryśi i Antka. Opuścili nas, wcale nie pytając o zgodę. Poszli sobie na pogawędki do zmarłych belfrów, do nieba.

A przecież kiedyś nie mogliśmy bez siebie żyć jednego dnia. Wspólna ławka, wspólna pauza, wspólny powrót do domu, wspólne wkuwanie, wspólne chodzenie do kina, wspólne plenery w parku Jordana, wspólne wędrowki po Krakowie z przewodnikiem w garści. Gromadne przechodzenia z domu do domu, z mieszkania do mieszkania. Wspólne farby, ołówki, tusze, podręczniki, ściągki, ekierki, gumki, pędzle. Wspólna bułka „daj ugryźć”, wspólny pierwszy w życiu papieros. No, i te miłości. Pierwsze uczucia. Nigdy celne, nigdy zgodne. Wciąż mijające się i okropnie nieszczęśliwe. Istny „Sen nocy letniej”.

Jeśli Margola kochała się w Andrzeju, to Andrzej na pewno nie w Margoli, lecz w Kryśi. Jeśli Marek w Irenie, to Irena ciągle jeszcze kochała się w jakimś intruzie spoza szkoły. W Zośce Roman, ale ta lawirowała i wreszcie serce oddała Ryśkowi. Rudy Boguś wdychał nieśmiało do... otóż to! Nigdy nie można było dociec do kogo. W Antku kochały się wszystkie po kolei, i gdyby on tylko zechciał, ale on nie chciał, i ni z gruchy, ni z pietruchy wybrał taką prze-przystojną z wyższej klasy. Sytuację ratowali Basia z Januszem, nareszcie zgodni w uczuciach i charakterach. Koncentrowaliśmy się więc wokół nich jak ćmy i swoje szarpaniny uczisaliśmy przy ich spokojnie świecącym płomieniu. Zwierzaliśmy Basi swoje „rozdrapy”, a ona starała się im zaradzić, szepcząc temu, lub tamtej, że właśnie Kryśka, lub Rysio mrą z nie odważymionej miłości.

Antek z Markiem stworzyli system filozoficzny, który nazwali-śmy „momentem chwili”. Nazwa absurdalna, ale wartość tego „zdarzenia naukowego” o tyle ważna, że trzymająca nas w pewnym umiarze. Rzecz polegała na samoograniczeniu się, umiejętności rezygnowania. System ten brał początki ze stoicyzmu, ale budowanie życia wyłącznie na niczym nie zmażonym spokoju, wy-dawało nam się oportunistycznym niegodnym młodości. Tu chodziło o świadomą rezygnację z rzeczy, na której cholernie zależy. Pozwolić wybuchnąć ekstatycznemu pożądaniu, dać się ponieść spontaniczności, poczem we właściwym momencie wyhamować. Ćwiczyliśmy się w najrozmaitszy sposób. Na przykład: biegniemy do stojącego na przystanku tramwaju, tramwaj rusza, więc dodajemy gazu, staramy się dogo-nić, już, już go mamy, już łapiemy uchwyt... ale nagle zwalniamy, machamy ręką i mówimy:

– A! myślę sobie, będę gonić?

Ta filozofia wiele razy uchroniła mnie od głupot. Ale spowodowała też wiele strat. Już, już łapałam jakąś życiową okazję i w ostatniej chwili, chcąc być wierną spracowanej ćwiczeniami młodości – machałam ręką, tracąc z własnej woli rolę, pieniądze, coś z dorobku. W zamian miałam luksus samostanowienia o sobie, dezygnację w braniu tego, co mi się podobało i odrzucaniu, co wydawało mi się niekonieczne. Miałam poczucie wolności. Nigdy nie dałam się wciągnąć w mało szlachetne wyścigi. Czy to dobrze, czy źle, nie ma w tej chwili znaczenia. Tak było.

Antek, będąc wśród nas najstarszym i najbardziej doświadczone, decy-dował też o sposobie bycia naszej dwunastki. A ściślej, ich siódemki. Charakterystyczną cechą naszych chłopców była elegancja wobec nas. Pewien rodzaj galanterii, dający nam ogromne fory. Oblepiali nas czułością, ofiaro-wując jednocześnie pełną swobodę. Kochali nas, ale nie protestowali, gdy fascynowaliśmy się kims spoza. Skutecznie wykańczali tylko obcego ry-wala szyderstwem. Mając nieustannie jakieś swoje tajemnicze męskie sprawy, czuwali i opiekownie się nami. Poruszałyśmy się między nimi bezpiecznie, niebezpiecznie próbując na nich swoich kobiecych sił. Igra-łyśmy z ogniem, ale oni byli niewzruszeni w pobłażliwości i wstręmię-liwości. Oni to chyba nawet lubili. Te nasze prowokacje. Nam wszystko było wolno. Byłe wobec nich. Innym dziewczynom z klasy nie. Z całym oddaniem grali rolę „psów ogrodnika”.

Po maturze rozmiotło nas na cztery strony świata. Zawiązywaliśmy w no-

wych miejscach nowe przymierza i przyjaźnie. Czasem zawyło w du-ży tęsknotą, ale Nowe gnało, popędzało, nie dało ustać, nie pozwalało oglądać się w tył. Więc gnaliśmy, pędziliśmy, nie ustalaliśmy. Zdobya-waliśmy, rezygnowaliśmy, upadaliśmy i znów się dzwigaliśmy. Budowa-liśmy swoje życia.

W sobotnie wrześnie popołudnie pod tablicą poświęconą nieżyjącemu dyrektorowi naszej Szkoły, Włodzimierzowi Hodysowi, stanęła blisko pięć-setosobowa gromada absolwentów wszystkich roczników. Od 1946 do 1996. Przewodzili najwspanialsii. Broniek Chromy, Marian Konieczny, Ry-szard Horowitz, Tadeusz Nyczek, Jerzy Trela. Osieroceni przez Kruczkę i Cieślęwicza, zdradzeni przez nieobecnych Starowiejskiego, Darowskiego, Macedońskiego, stali wśród nas jak drzewa genealogiczne, które dały wszystkiemu początek. Uczniowie profesorów Hodysa, Romankówny, Tar-kowskiego, Orszulskiego, Stawowskiego, Hoffmana i wielu, wielu innych, których cienie przesunęły się między nami i kazały sobie wspominać.

Moja „banda” z II „B”, jaśniała dla mnie wśród innych band najmocniej i najmilej. Patrzyliśmy na siebie czujnie. Szukaliśmy w zmienionych przez czas twarzach, nas tamtych.

– Boże – pomyślałam – jacy jesteście piękni. Jak postarzałe anioły Mi-chała Anioła. Jak w zachodzącym słońcu mury Akropolu.

Dotykaliśmy się oczami, wyglądaliśmy spojrzeniami zmarszczki, pie-ściłymi w uścisku zniszczone praca i chorobami ręce.

Zwyłoi absolwentów wraź dookoła, huczał, przekrzykiwał się, witał, obściskował. Zamknęliśmy się w ciasnym kole i zaczęło się sakramental-ne „a pamiętasz”.

– A pamiętasz jak Jurek spuścił Syłtkowi na głowę jajko?

– ... jak Baśkę powiesiliśmy na haku?

– ... jak Hodys wylewał z budy Antka i Marka?

– ... jak Marek w ciemnościach zgasił Zośce w oku papierosa?

A pamiętasz..., a pamiętasz..., a pamiętasz...

Wszystko pamiętałam. I to, i jeszcze inne. Że od czasu, w którym wieszaliśmy się na hakach, spuszczałyśmy sobie na głowy jajka, wy-lewaliśmy się z budy, gasiliśmy sobie w oczach papierosy – upłynę-ło równo 45 lat. Że z głupawych, rozkosznych dziewczyczyn i ekscen-trycznych, filozofujących chłopców powyrastali zanni, czkagodni ludzie. Że nasza młodość, mimo głupot, była bogata i przecież roz-umna. Gromadziliśmy, robiliśmy zapasy. Dużo później przyszedł czas myślenia, formułowania, krzepnięcia. Kiedy patrzyłam na nas, już trochę wysupłanych z gromadzonych kiedyś wspólnie zapasów, dziękowałam losowi, że właśnie z nimi przeżyłam tak cudowny, lecz i mozolny czas. Dzięki nim moja spiżarnia stała się zasobna i prawie bez dna, skoro jeszcze dzisiaj mam po co do niej sięgnąć i mogę wy-brać to, co kiedyś było najlepsze i uczynić z tego wskaźnik, obowiązek, kierunek. Nasza niegdysiejsza niezmordowana wiąskliwość w siebie, w szkołę, w życie dała mi siłę walki o siebie, o zawód, o życie. Nigdy po-tem nie żyłam w takiej licznej wspólności z jednoczesnym zachowaniem osobistej wolności i honorowaniem cudzej. Z całą pewnością czas z nimi przeżyty w tej, a nie innej szkole, pod okiem tych, a nie innych nauczy-cieli, był najważniejszym czasem mojej młodości. Było tego tylko dwa lata. I to jest zdumiewające, że dwa lata mogą być tak brzemiennie, tak decydu-jące, tak dogłębnie kształtujące. Przez takie, a nie inne objawienie nam cu-du Sztuki, zostaliśmy nią pomazani i całkowicie jej sprzedani.

Stało się to wtedy, gdy mieliśmy 16, 17, i może niekiedy, 18 lat. Marek na egzaminie wstępnym rysował okręty wojenne, wybuchające bomby i biało-czerwone chorągiewki. Kryśka, piernikowy domek z kominem i dymem. Byliśmy dziećmi. A potem się tak porobiło, albo nauczyciele porobili z nami coś takiego, że mówić o malarstwie monochromatycznym lub przeprowadzić analizę światła u Cezanne’a, to już była kaszka z mle-kiem.

Dziękuję obecnemu dyrektorowi Janowi Rzehakowi za ten jeden dzień, równie dla mnie ważny, jak ówczesniejsze dwa lata. Pozwolił mi potwierdzić moje przekonanie, że ludzie mimo upływu lat nie zmieniają się. Zmieniają się tylko nasze ciała. Natury, charaktery, tem-peramenty, inteligencja, poczucie humoru – nie. Jeśli żyjemy dla jakie-go celu, traktujemy nasze i cudze życie z szacunkiem, jeśli nie ustaje-my w ciekawość ludzi i świata – stajemy się bardziej atrakcyjni i bar-dziej piękni. Takich znalazłam moich. Ci, co pytlowali i mądrzyli się, py-tlują i mądrzą się nadal. Ci, co spokojnie siedzieli w ławkach i uważnie patrzyli, siedzą tak ciągle. Ci, co się między sobą kłócili, pokłócili się w pięć minut. Tyle, że ci, co pytlują, mają dzisiaj o czym pytlować, ci, co milczą, wiedzą, kiedy zabrać głos, ci co się pokłócili, pokłócili się ładnie, bo o Antka i Kryśię. Ich żal i tęsknota musiały znaleźć ujście.

– Teraz, tutaj, przy Zośce powinna być Krystyna, a przy Marku, Antek.

I nie pomagało tłumaczenie, że tylko oni, z naszej paki, okazali się być sobie naprawdę wierni. Oni jedyni połączyli się na zawsze węzłem, tyle że nie życia, a śmierci.

– A ty mi głowy nie zwracaj. Teraz, tutaj przy Zośce Kryśka, a przy Mar-ku, Antek. A tak, to co? Zośki pół i Marka połowa!

Pieklili się, bo nie chcieli płakać. To były godziny powrotu pięknych uczuć. Również strasznego niedosytu. Zaledwie otarliśmy się o siebie, a już od jutra rana musieliśmy podjąć życie oddzielne i z daleka od siebie.